

STÉPHANE COHEN



P E L É

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PELÉ

Copyright © Éditions Solar, an imprint of Édi8, Paris, France 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Michał Goreń 2023

Konsultacja merytoryczna: Adam Saługa

Redakcja: Maciej Cierniewski

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Éditions Solar

Opracowanie graficzne okładki polskiej: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcia na okładce: Thierry Sestier, © PictureAlliance (front); © Popperfoto/Getty Images (tył)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

WSTĘP

Podróż

19 LISTOPADA 1969 ROKU, ZARAZ PO zdobyciu najsłynniejszej bramki w swojej karierze, Pelé zalewa się łzami na oczach dziennikarzy: „Dedykuję ten tysiąc goli żyjącym w nędzy dzieciom mojej Brazylii”. Ma na myśli *criancinhas*, dzieci ulicy pozbawione możliwości nauki i perspektyw, niedostrzegane we własnym kraju ofiary skrajnej biedy.

Wiele lat później, po masakrze przed kościołem Candelária w Rio de Janeiro (w 1993 roku szwadrony śmierci zamordowały kilkoro młodych ludzi śpiących na schodach do świątyni), brazylijski król futbolu zgodzi się zostać ministrem sportu. Chciał zrobić coś dobrego dla tej młodzieży, której szanse na normalne życie już na starcie były iluzoryczne. To pragnienie zasiania ziaren nadziei na lepszą przyszłość pokazuje, że Pelé – słynny na całym świecie jako uosobienie *jogo bonito*, trzykrotny mistrz świata i właściciel rozbrajającego uśmiechu – był przede wszystkim wrażliwym człowiekiem.

W ciągu kilku dziesięcioleci nieustających podróży związanych z karierą piłkarza, a potem biznesmena i działacza, Pelé nie okazywał jednak tej wrażliwości bliskim, nawet własnym dzieciom (synowi Edinho, skazanemu na karę więzienia za udział w handlu narkotykami; córce Sandrze Reginie, będącej owocem ukrywanego związku i zmarłej w wieku zaledwie 42 lat, do której ojcostwa przyznał się dopiero po wielu latach zaprzeczeń i procesów sądowych...). Nie zauważył zresztą, że świat się zmienił, i został zagorzałym

orędownikiem zorganizowania mistrzostw świata w ojczystej Brazylii, kraju przeżartym przez korupcję i toczonym przez nędzę.

W efekcie, podczas gdy nostalgicy wciąż otaczali go kultem, młode pokolenie Brazylijczyków zarzucało mu oportunizm polityczny, obsesyjną chciwość, burzliwe życie rodzinne czy brak odwagi wobec dawnej dyktatury. Reputacja Pelé ucierpiała do tego stopnia, że w końcu jego młodzi rodacy za idola obrali Garrinchę, który nagle stał się w ich oczach jakby bardziej autentyczny, a do tego, z perspektywy czasu, wydawał się po prostu lepszym piłkarzem... U schyłku życia Pelé zdawał sobie sprawę, że jego gwiazda zbladła: stadionowi Maracanã nie zostanie nadane jego imię, a pytanie, którego jeszcze kilka lat temu nikt nie ośmieliłby się zadać, od jakiegoś czasu zaczęło przewijać się w debacie publicznej i rozmowach: czy aby na pewno właśnie on jest najlepszym piłkarzem wszech czasów?

Odpowiedzi jest wiele, tak jak wiele jest jego obliczy. „Pelé” dla świata, „Dico” dla najbliższych... Nigdy zresztą nie przestawał tego podkreślać w wywiadach: Pelé to ktoś inny, to pancerz, maska, która pozwalała mu często odnosić się do siebie w trzeciej osobie. Nie był to jednak bynajmniej przejaw pychy, lecz wygodny sposób na oddzielenie życia osoby publicznej od życia prywatnego.

Ta książka to podróż do prywatnego świata Edsona Arantesa do Nascimento, pierwszej globalnej gwiazdy piłki nożnej. Stał się nią zarówno dzięki swojemu wyjątkowemu talentowi, jak i temu, że szczytowy okres jego kariery przypadł na czasy upowszechniania się telewizji i na narodziny szeroko pojętej globalizacji. Ze skromnego rodzinnego domu o przeciekającym, dachu położonego w sercu stanu Minas Gerais, Dico wyruszył w świat, szlakiem wiodącym przez stadiony i pośród wiwatujących tłumów. Wędrówka ta trwała całe życie i dobiegła końca w 2022 roku, zresztą nieopodal stadionu Vila Belmiro i muzeum noszącego imię piłkarza.

Pelé nie wpłynął bezpośrednio na narodziny mojej pasji do piłki nożnej. Jestem z pokolenia, które pasjonowało się wyczynami legendarnej drużyny Saint-Étienne i Michela Platinięgo. Byłem zbyt młody, by śledzić poczynania Brazylijczyka u szczytu sławy. Miałem w pokoju jego plakat w barwach Cosmosu Nowy Jork, dokąd trafił

pod koniec kariery, a ojciec powtarzał, że to właśnie Pelé był „królem piłki”. Jako dziecko przyjąłem zatem do wiadomości, że nad piłkarzami, którzy naznaczyli moją młodość, jak właśnie Platini, Keegan czy Zico, unosił się duch istoty najwyższej futbolu. Choć nigdy nie widziałem jej na żywo, przyswoiłem sobie, że „król piłki nożnej” jest tylko jeden na wieki wieków. I dalej w to wierzę. Jako dorosły wykonuję pracę, która polega na bezustannym rozkładaniu wszystkiego na czynniki pierwsze, w tym zagadnień zgoła nieistotnych, jakby świat był jedną wielką maszyną, a każdy jej trybik ma ściśle określone znaczenie, które należy opisać i wytłumaczyć. Nie zostaje wtedy wiele miejsca na zachwyty, na kontemplację, na zmienność nastroju, który sprowadziliśmy do roli czegoś powierzchownego. Mam szczęście, że udało mi się znaleźć wydawcę, który pozwolił mi odbyć podróż do prawdziwego życia prawdziwego Pelé. Bez konieczności wyciągania z kapelusza sensacyjnych plotek ani wyczerpującego relacjonowania ostatnich chwil mojego bohatera, zarazem jednak bez pomijania żadnego szczegółu jego biografii – ani tego, co było w niej dobre, ani tego, co złe.

Oto więc historia życia Edsona Arantesa do Nascimento. Człowieka, który płakał co najmniej tyle, ile się śmiał, który kochał muzykę, kobiety i kino, który zawsze zabierał do walizki bączka, zabawkę ze szkolnego podwórka, i który dla wszystkich zakochanych w piłce nożnej na zawsze pozostanie symbolem wiecznego dzieciństwa.

ROZDZIAŁ 1

Tysięczny

PELÉ WKRÓTCE MIAŁ STRZELIĆ tysięcznego gola w karierze. Już od kilku tygodni ten temat rozpałał wyobraźnię Brazylijczyków. Kiedy to się stanie? Przeciwko komu? Gdzie? Cały kraj czekał w napięciu na rozwiązanie zagadki, niczym poddani, którzy wypatrują narodzin następcy tronu. To miało być w tamtym roku drugie przełomowe wydarzenie w skali świata po lądowaniu człowieka na Księżycu. Na ulicach prowincjonalnych miasteczek goszczących drużynę Santosu odbywały się improwizowane karnawały. Dziesiątki reporterów, fotografów, kamerzystów, felietonistów i zwykłych ludzi podążających w ślad za medialną karawaną żyły jak w transie. Dostosowywali swoje życie do tego, co mogło się wydarzyć praktycznie w każdej chwili. Na stadionach, na których Pelé rozgrywał mecze w tym okresie, kłębiły się rozgorączkowane tłumy piłkarzy, dziennikarzy, kibiców, policjantów i żołnierzy. Każdy pragnął wbiec na murawę, żeby z nim porozmawiać, zobaczyć go z bliska, dotknąć go albo przytulić (lub uniemożliwić to wszystki innym). I wszyscy coraz bardziej się niecierpliwili.

Pelé się zaciął. Szczęście go opuściło. Nie zdobył bramki przeciwko Corinthians, klubowi, w którym pragnął grać jako mały chłopiec. Nie wpisał się na listę strzelców również w starciu z São Paulo FC. Raz trafił w słupek, raz w poprzeczkę. W Salvadorze pełne trybuny stadionu Fonte Nova dopingowały jego, a nie miejscowy klub EC Bahia. Na kilka minut przed końcem meczu O Rei minął bramkarza

jednym ze swoich firmowych dryblingów – choć wszyscy doskonale je znali, obrońcy nadal nie umieli go powstrzymać – i prawą nogą kopnął piłkę do pustej bramki. Publiczność zerwała się na równe nogi i już zawołała „Gooooool!”, gdy wtem do futbolówki dopadł wykrokiem Nildo i z rzetelnością solidnego defensora lewą nogą wybił ją z linii bramkowej. Od tej chwili do końca meczu obrońca był wyzywany i wygwizdywany przez własnych kibiców, którzy nie mogli mu darować tego, że popsuł im spotkanie z historią, a szansę na obejrzenie na żywo epokowego wydarzenia ofiarował innym. Ponadto niektórzy uważali, że Pelé umyślnie zastąpił kontuzjowanego bramkarza Santosu (w tamtych czasach nie było zmian) w meczu z Botafogo, by dokonać tego, na co czekał cały kraj, na Maracanie.

Choć rekord był bardzo blisko, Pelé żył w ciągłym napięciu. Niecierpliwość, którą wyczuwał w spojrzeniach, artykułach prasowych i radiowych rozmowach, spędzała mu sen z powiek i wykrzywiała jego anielski uśmiech. Pięć dni później, w święto flagi narodowej, dziesiątki tysięcy widzów przestępowały z nogi na nogę w duchocie Rio. Na ekranach nie było ich widać, ale za to słychać było ich pomruk roznoszący się po tym czarno-białym teatrze, jakim jawiła się wtedy w telewizji Maracanã. Ilu kibiców zasiadło tego wieczoru na tym długo uznawanym za przeklęty stadionie, który oficjalnie mógł wtedy pomieścić 220 tysięcy osób? Do 1948 roku, kiedy otwarto obiekt – który od 1966 roku nosił nazwę Estádio Jornalista Mário Filho, ku czci dziennikarza i działacza, bez którego Maracanã pozostałaby projektem – największy stadion piłkarski na świecie znajdował się w Europie, a konkretnie w Glasgow. I to właśnie na Maracanie, w tym betonowym Koloseum wzniesionym, by stać się areną największych uniesień w dziejach brazylijskiego futbolu, 19 listopada 1969 roku, o godzinie 23.11, przyjmując prostopadłe podanie od Clodoaldo, Pelé runął w polu karnym drużyny przeciwnej. Sędzia Manoel Amaro de Lima bez dłuższego namysłu wskazał na „wapno”. „Byłem sam przeciwko reszcie świata” – wspominał Edgar-do Andrada, zmarły w 2019 roku argentyński bramkarz o spojrzeniu, jakie charakteryzowało bohaterów filmów Passoliniego, który bronił wtedy bramki Vasco da Gamy. Do końca meczu pozostało dwanaście

minut. Vasco, tak jak inne czołowe drużyny z Rio de Janeiro, Flamengo i Botafogo, było na początku klubem wioślarskim. Czerń jego koszulek, na których widniał krzyż maltański, symbolizowała głębię nieodkrytych mórz, a biały skośny pas na piersi – morską drogę do Indii odkrytą przez portugalskiego żeglarza. W meczu, którego stawką był końcowy triumf w Robertão* – rozgrywkach pełniących funkcję mistrzostw Brazylii w czasach przed powołaniem ogólnokrajowej ligi – do 23.11 był remis.

Zawodnicy Vasco, którzy od pierwszego gwizdka nie przestawali prowokować gwiazdy rywali, zaczęli protestować. Z kolei ich kibice skandowali jego imię: „Pelé! Pelé!”. Tymczasem pozostali gracze Santosu ustawili się pośrodku boiska, zgodnie z tym, co ustalili wcześniej. Jeden z obrońców Vasco zaczął ryc butem trawę w punkcie, z którego wykonuje się rzut karny, podczas gdy Pelé i bramkarz Andrada, trzymając się za ramiona, wymieniali jakieś uwagi. Z ich postawy nie wynikało, że są między nimi złe emocje. Ale pozostali zawodnicy gospodarzy nie dawali za wygraną. Otoczyli Pelé, próbując go zastraszyć, i dalej niszczyli murawę. On jednak nie reagował i ustawił sobie piłkę. Jeden z rywali ją przesunął, ale arbiter przywrócił ją na właściwe miejsce. Wreszcie Andrada, jedyny, który mógł zapobiec zdobyciu przez Pelé tysięcznego gola właśnie tego wieczoru, po drodze do bramki też trącił futbolówkę. Trzymając ręce na biodrach, gwiazdor Santosu pochylił się, jakby chciał wziąć głęboki oddech, po czym odwrócił się do kolegów z drużyny, stojących w rzędzie ponad czterdzieści metrów od niego, i przeciwników, stojących o wiele bliżej i rzucających mu gniewne spojrzenia i kąśliwe uwagi. „Po raz pierwszy w całej karierze byłem zdenerwowany. Andrada był w formie. Nigdy wcześniej nie czułem takiej presji. Przechodziły mnie dreszcze”. Z trybun spłynął pomruk, po czym zapadła cisza, w której kłębiły się emocje bliskie wybuchu. Pelé odwrócił się z powrotem do bramki i powoli podszedł do piłki, lecz przed samym strzałem zatrzymał się na moment, by zmylić golkipera. Ten manewr po portugalsku nosi nazwę *paradinha*. Wiele lat później Międzynarodowa

* Pełna nazwa: Torneio Roberto Gomes Pedrosa.

Federacja Piłki Nożnej (FIFA) zakazała takiego zachowania, po czym wycofała się z tej decyzji. Pelé pewnie umieścił piłkę w rogu bramki. Co prawda Andrada wyczuł jego intencje i miał ją na rękawicach, ale nie zdołał jej zatrzymać. Zatrzepotała w siatce.

Gooooooooool! W ciemność nocy poniósł się ryk tysięcy gardeł. Była 23.23. Nikt nie zwracał uwagi na Andradę, który płakał z wściekłości, waląc pięścią w murawę. „Ogarnęła mnie rozpacz. Nie chciałem przechodzić do historii w ten sposób” – mówił po latach. Ludzie skupili wzrok na Pelé, który wbiegł do bramki i chwycił piłkę. Wyśliznęła mu się z rąk, ale podniósł ją i złożył na niej długi pocałunek. Potem zniknął w tłumie około stu osób, który wlał się na murawę ze wszystkich zakątków trybun. Pozostali gracze Santosu nadal stali w kole środkowym. W końcu Pelé znowu ukazał się widzom, niesiony na ramiach fanów. Dalej trzymał w dłoniach piłkę, jakby to było trofeum, łakomie ją całując. Wreszcie jednak uwolnił się i utonął w objęciach kolegów z drużyny, którzy nie ruszyli się dotąd z miejsca. Dostał też okolicznościową koszulkę i włożył ją, biegnąc ku trybunom, by odbyć rundę honorową. Paradował wokół boiska ubrany w trykot Vasco da Gamy z numerem 1000 przez blisko pół godziny, zanim sędzia wznowił mecz. Był to najważniejszy dzień w jego dotychczasowej karierze, tak jak swego czasu finał mistrzostw świata w Szwecji w 1958 roku i później fenomenalny występ w rewanżowym spotkaniu o Puchar Interkontynentalny w Lizbonie w 1962 roku, a także jak czekający go jeszcze zwycięski finał MŚ w Meksyku w 1970 roku i, wreszcie, jego pożegnalny mecz Cosmos – Santos w roku 1977. Tego niezapomnianego dnia na Maracanie zdobył tysięcznego gola w karierze. Niewiarygodny wyczyn. Zaraz po końcowym gwizdku (mecz zakończył się wygrana Santosu 2:1) piłkarza poproszono o odsłonięcie okolicznościowej marmurowej tabliczki, którą już zawczasu wmurowano przy wejściu na stadion. Napis na niej głosił: „To tutaj 19 listopada 1969 roku, strzelając tysięcznego gola, Pelé ugruntował swoją pozycję najlepszego piłkarza wszech czasów”.

Szczyt kariery Pelé, uwielbianego dzięki swojemu bezprecedensowemu talentowi, przypadł na okres upowszechniania się telewizji i na początki szeroko pojętej globalizacji. W uznaniu dla jego

wyczynu wręczono mu piłkę z osiemnastokaratowego złota, a magazyn „Drible” nagrodził go pozłacaną statuetką z futbolówką. Z kolei władze miasta São Paulo uhonorowały Pelé brązowym popiersiem, a generał Emílio Garrastazu Médici, stojący na czele dyktatury wojskowej rządzącej wówczas krajem (autor słynnego zdania: „Brazylię albo się kocha, albo trzeba ją opuścić”), 22 listopada przyjął piłkarza na uroczystym spotkaniu w swoim pałacu w Brasílii.

Wiele lat później skrupulatni statystycy ustalą, że tysięczną bramkę Pelé zdobył tydzień wcześniej, 12 listopada 1969 roku, w meczu przeciwko małemu klubowi Santa Cruz de Recife, z dala od teatralnej okazałości Maracany. Piłkarz temu nie zaprzeczy. Lecz to tydzień później, w tym niemal świętym dla Brazylijczyków miejscu, będąc u szczytu pełnej sukcesów kariery, podczas której sięgnął futbolowych gwiazd, nadał nowy sens swojemu życiu, jakby przygotowywał się już do zamknięcia rozdziału indywidualnych osiągnięć i otwarcia nowego: działalności na rzecz pokrzywdzonej młodzieży. Wkrótce po meczu za pośrednictwem mikrofonu dziennikarza Geraldo Bloty z radiostacji Radio Gazeta wystosował komunikat nadziei do *criancinhas*, brazylijskich dzieci ulicy. Co takiego powiedział? „Dedykuję ten tysiąc goli biednym dzieciom z całej Brazylii”, „Ten dorobek dedykuję młodzieży całego kraju” czy może „Na miłość boską, teraz, kiedy wszyscy słuchacie: pomagajcie dzieciom, pomagajcie tym, którzy są w potrzebie. To moje jedyne pragnienie w tym wyjątkowym dla mnie dniu”? Sam Pelé nie pamiętał. Ale przywołując *criancinhas*, tę młodzież bez wykształcenia i przyszłości żyjącą w skrajnej biedzie, młodzież, której rodacy zdawali się nie dostrzegać, Pelé nadał kierunek swojej dalszej karierze i całemu życiu. W 1993 roku, krótko po masakrze przed kościołem Candelária, zgodzi się objąć posadę ministra sportu. Będzie próbował działać na rzecz młodych, którzy inaczej nie otrzymaliby szansy na lepsze życie. Troska o nich stanie się jego obsesją. On, potomek afrykańskich niewolników, który został mianowany ambasadorem UNICEF, do końca swoich dni będzie uczulał świat na los dzieci żyjących w nędzy. Nawet pod koniec życia chętnie będzie grał z nimi w piłkę i pozował do zdjęć dla mediów na wszystkich kontynentach.

Dzieci są szczerymi rozmówcami. Nie kłamią, a do tego uśmiechają się, kiedy tylko mogą. Edson Arantes do Nascimento też taki był. Kontakt z dziećmi z całego świata dawał mu poczucie powrotu do niewinności własnego dzieciństwa, którą pragnął zachować tak długo, jak tylko mógł: czy to na improwizowanych boiskach Santosu, na których jako nastolatek grał z kolegami, czy na soczystozielonej murawie Central Parku, gdzie uganiał się za piłką, będąc już gwiazdą podziwianą na całym świecie. Kiedy wiele lat po tym, jak zawiesił buty na kołku, pytano go o chwilę z jego życia, które wspomina z nostalgią, nie przywoływał ani swojego tysięcznego gola, ani najbardziej spektakularnych bramek, ani trofeów, ani nawet narodzin siedmiorga swoich dzieci, lecz własne dzieciństwo: „Smak świeżo zerwanych mango, prostota tego życia, w którym szczęście sprowadzało się do grania na ulicy w piłkę z kolegami. W mojej pamięci wspomnienia z dzieciństwa nigdy nie straciły na wyrazistości”. Pelé nigdy – dokądkolwiek się udawał, i to nawet jeszcze na krótko przed śmiercią, dopóki miał siłę się przemieszczać – nie rozstawał się z bączkiem, którym bawił się jeszcze w przedszkolu.

Los nie obszedł się łaskawie z jego nieślubnymi dziećmi. Syn Edinho wychowywał się u boku samotnej matki, a kontakt z ojcem nawiązał dopiero w wieku osiemnastu lat. Był przeciętnym piłkarzem, który z czasem zszedł na złą drogę. W końcu trafił do więzienia za udział w handlu narkotykami. Córka Sandra Regina, urodzona ze związku pozamałżeńskiego, przez praktycznie całe życie toczyła sądową walkę o to, by ojciec ją uznał. Tuż przed swoją przedwczesną śmiercią w wieku czterdziestu dwóch lat uzyskała wyrok, o który zabiegała. Pelé nie miał innego wyjścia, jak przyjąć do wiadomości decyzję sądu. Dla własnych dzieci był tak naprawdę bardziej mitem niż ojcem.

Swoją drogą pod wieloma względami sam pozostał dzieckiem: dwukrotnie zaufał ludziom, którzy całkowicie go zrujnowali; wolał posługiwać się pseudonimem nadanym mu przez matkę, a nie tym, pod którym znał go cały świat; wybrał pracę, która przynosiła skromne dochody w porównaniu z tymi, do których mógłby aspirować, gdyby postawił na naukę; wniósł świeżość i zuchwałość na

boiska, na których dominowały twarda gra i dyscyplina taktyczna; wiązał się z kolejnymi kobietami, nie biorąc odpowiedzialności za potomstwo; wikłał się w dziecinne utarczki o miano piłkarza wszech czasów z Maradoną i Cristiano Ronaldo; zawsze zachowywał się jak rozkapryszony bachor, co jego brat Zoca znosił w milczeniu; domagał się, by gol strzelony na planie filmu *Ucieczka do zwycięstwa* został dodany do listy bramek zdobytych przez niego podczas rzeczywistej kariery; wreszcie nawet jako osiemdziesięciolatek nie mógł powstrzymać łez, gdy mówił o swoim ojcu Dondinho..

Biografia Pelé to bowiem bajkowa opowieść dla dzieci, obietnica życia spędzanego na nieustannej zabawie, historia młodzieńca z nizin społecznych, którego w wieku piętnastu lat, gdy jego dobytek sprowadzał się do pary spodni, wzięła pod swoje skrzydła życzliwa dusza. Ową życzliwą duszą był Waldemar de Brito, trener i wychowawca drużyny młodzieżowej BAC, klubu z miasteczka Bauru w stanie Minas Gerais. To on pewnego dnia przedstawił chłopca Luli, trenerowi Santosu, uderzając w podniosłe tony: „Oto chłopak, o którym panu mówiłem: ten, który stanie się najlepszy na świecie”.

ROZDZIAŁ 2

Syn Celeste i Dondinho

PELÉ WCALE NIE JEST PANEM NA WŁASNYCH włościach. Przeciwnie. W rodzinnej miejscowości jest tematem niekończących się debat i kontrowersji. Choć przyszedł na świat w Três Corações, uchodzi za dziecko Bauru, miasta, do którego jego rodzice przeprowadzili się, kiedy miał trzy lata. To tam rozkwitł jego piłkarski talent i to tam go dostrzeżono, podczas gdy najbardziej uzdolnieni brazylijscy piłkarze wywodzili się głównie z metropolii São Paulo i Rio de Janeiro. Nawet najmocniejsze kluby nie miały możliwości wyszukiwania rokujących juniorów na dalekiej prowincji. Três Corações czuje się poniekąd pokrzywdzone, jakby pozbawiono je najsłynniejszego obywatela, którego duch do dziś unosi się nad miasteczkiem. O Rei jest tam więc obecny na każdym kroku. Jego zdjęcia wiszą w wejściach do sklepów, barów i domów. Jeden z głównych pracodawców lokalnych mieszkańców, palarnia kawy, nosi nazwę Café Terra Do Rei (Kawa z Kraju Króla). W niektórych restauracjach wywieszono zdjęcia Pelé ściskającego dłonie jakimś miejscowym decydom. Turyści jako pamiątkę mogą kupić kopię aktu urodzenia piłkarza z podpisem.

Ale prawdziwy Pelé nie bywał tu już od bardzo dawna. Z jednej strony w Três Corações wciąż żywe jest przeświadczenie, że porzucił rodzinne strony, przez co nie był tu tak kochany jak wszędzie indziej, choć przecież to dzięki niemu świat w ogóle o tym miejscu usłyszał. Z drugiej zaś strony wśród obrońców Pelé panuje przekonanie, że żadne z lokalnych władz kolejnych kadencji nie potrafiły znaleźć

dobrego sposobu na to, by wykorzystać związki Króla z miasteczkiem dla dobra mieszkańców. Otóż jeśli już ratusz zwracał się do niego, to najczęściej prosił o pomoc finansową. A tymczasem wydaje się, że mieszkańcy Três Corações, kochający i zarazem nienawidzący jego najwybitniejszego obywatela, pragnęli przede wszystkim, by częściej odwiedzał rodzinną miejscowość.

Tylko że ze względu na zaawansowany wiek i kłopoty zdrowotne Króla jego odwiedziny w rodzinnym miasteczku już od dawna zaczęły się stawać coraz mniej prawdopodobne. Aby osłodzić sobie oczekiwanie i zachęcić Pelé do przyjazdu, Três Corações postawiło mu kilka pomników. Jeden umieszczono przy wjeździe do miasta: przedstawia gest zwycięstwa ponad trzema sercami, symbolem miasteczka liczącego 77 tysięcy obywateli, położonego zresztą w sercu stanu Minas Gerais i noszącego nazwę nawiązującą do licznych kiedyś kopalń złota, dzięki którym zawsze była tu praca dla każdego, kto się jej nie bał. Drugi pomnik stoi w śródmieściu, odsłonięty w 1970 roku, tuż po mistrzostwach świata. Pelé pojawił się na ceremonii poniekąd z przymusu. Był wyraźnie zmęczony. Ale to było bez znaczenia. Miasto stanęło. Sklepy się pozamykały. Kto mógł, ten przyszedł zobaczyć legendę na żywo. Odbył się również mecz towarzyski Santosu z lokalnym klubem (dziś nosi nazwę Clube Atlético Tricordiano). Miejscowi wygrali 2:1, dając mieszkańcom powód do dumy i swego rodzaju rewanż na tym, który prawie nigdy ich nie odwiedzał, a nawet jeśli przyjeżdżał, to zamykał się w hotelu Calabreza, gdzie zapewniano mu dyskrecję podczas wizyt u rodziny. Unikał zatrzymywania się na noc u krewnych. Wreszcie trzecią statuetę postawiono w Parku Miejskim im. João Ramosa do Nascimento. Przedstawia nastoletniego piłkarza i jego ojca. Dondinho, patron parku, kładzie dłoń na ramieniu syna.

W ten właśnie sposób i w takich okolicznościach Três Corações długo czciło Pelé pod jego nieobecność. Aż do jego powrotu na inaugurację Casa Pelé, repliki domu rodzinnego, którą wzniesiono w miejscu pierwotnego budynku. Widać stamtąd Estádio Elias Arbetx, swoją drogą przez jakiś czas zwany Areną Pelé, z jego jedyną trybuną wznoszącą się nad rzeką Rio Verde. Było to w roku 2012 i była to pierwsza oficjalna wizyta Króla w rodzinnym miasteczku od

czterdziestu dwóch lat. Três Corações opanowała tego dnia euforia, a przecież ludzie są tutaj mniej wylewni niż na wybrzeżu. Tysiące gapiów biegły po chodnikach, przewracając się, wstając i rozpaczliwie przyspieszając, byle tylko nie stracić z oczu Pelémobile, wojskowego jeepa, z którego pozdrawiał tłum gromadzący się zarówno na głównych arteriach, jak i w zakurzonych zaułkach. Otaczała go dziesiątka ochroniarzy, a jego pojazd poprzedzały trzy policyjne radiowozy. Przybył z osobistym podarkiem dla rozentuzjasmowanych mieszkańców: piosenką, którą sam skomponował z myślą o nich. „Urodziłem się w Três Corações, w Três Corações przyszedłem na świat, świat, przez który podążałem dzięki przykładowi ojca, miłości matki i przychylności ludzi, o których przecież nigdy nie zapomniałem...” – zanucił przy akompaniamencie gitary.

A później, wśród rzęsytych oklasków, w otoczeniu gromady dzieci ubranych w czerwono-białe barwy miejscowego Atlético, skierował się do owego fałszywego domu rodzinnego, udając, że go rozpoznaje, choć raczej zdawał się szukać tam wspomnień z dzieciństwa od ponad sześćdziesięciu lat ukrytych gdzieś w cieniu rosnącej na środku ogrodu żabotikaby. Casa Pelé to podłużny domek znajdujący się na wzgórzu, przy ulicy, której nadano nowego patrona: Edsona Arantesa do Nascimento... Zaraz obok mieści się niewielki parking. Stojące tam samochody i współczesne znaki drogowe tylko uwypuklają zaniedbanie budynku. Na zewnątrz wóz dziadka Pelé, który był dostawcą drewna (piłkarz przypominał sobie, jak dziadek sadzał go na konia), dogorywa pod mizernym daszkiem. Sam domek z założenia miał odzwierciedlać wygląd pierwotnej siedziby rodziny Pelé, ale umieszczono na nim tablicę pamiątkową i namalowano mural przedstawiający rodzinę w komplecie. W środku: kuchnia z drzwiczkami na drugą stronę budynku, dwie sypialnie i pokój gościnny. W takich warunkach mieszkali przyszły piłkarz i czworo jego dorosłych krewnych. We wnętrzach eksponowane są meble i przybory kuchenne, lecz nie wiadomo, czy faktycznie należały do lokatorów. Owszem, tak wyglądał dom Pelé, z pewnością jednak nie jest to miejsce z jego dzieciństwa. Panuje tu zbyt duży porządek. Wprawdzie budynek jest rzeczywiście mały, ale w ogóle nie odzwierciedla bylejakości chudych lat, kiedy to

jego prawdziwy poprzednik został wzniesiony z cegieł pozyskiwanych na różne sposoby to tu, to tam. Otwarcie Casa Pelé stanowiło ostatnią próbę odzyskania Króla przez jego rodzinne miasto. Profil muzeum na Facebooku jest nieaktywny od 2013 roku, a odwiedzają je tylko miejscowi albo ci nieliczni, których nie zniechęca pięciogodzinna podróż samochodem w jedną stronę z Rio lub São Paulo.

Matka piłkarza, Dona Celeste, nie była jeszcze pełnoletnia, gdy Pelé przyszedł na świat 23 października 1940 roku. Jego ojciec, João Ramos do Nascimento, którego poznała rok wcześniej, gdy odbywał służbę wojskową, miał dwadzieścia dwa lata. Dondinho, bo tak go wszyscy nazywali, pochodził z Campos Gerais i żył z dorywczych prac. Jednocześnie wyrobił sobie reputację bramkostrzelnego napastnika w regionalnych rozgrywkach. Miał więcej talentu do piłki niż jego starszy brat, przedwcześnie zmarły w wieku dwudziestu pięciu lat. W programie telewizyjnym *Bom Dia Brasil* dziennikarz Alexandre Garcia opowiadał:

Opiszę państwu historię, która przydarzyła się ojcu Pelé, Dondinho, krzepkiemu jak dąb dostawcy mleka i gwiazdzie drużyny z Campos Gerais w jednej osobie. Dondinho był lepszy niż jego syn. Aż do dnia, w którym podczas meczu przeciwko Alfenense jakby pokłócił się z piłką. Dondinho musiał wtedy wyjątkowo cierpieć. Jego drużyna przegrała, a prezes klubu, piekarz Alcides, wyrzucił Dondinho z drużyny. Z powodu gniewu kibiców pechowiec wyprowadził się ze swojego miasta. Zamieszkał w Três Corações, gdzie dołączył do drużyny wojskowej. Tam też otworzył swoje serce. Ożenił się, a niedługo potem, w październiku 1940 roku, przyszedł na świat Edson. To jedyny przypadek w dziejach, gdy gniew tłumu nie zaprowadził króla na szafot, lecz przyczynił się do jego narodzin!

Dondinho mierzył ponad metr osiemdziesiąt. W tamtych czasach był bardzo wysoki jak na napastnika, co dawało mu znaczną przewagę w pojedynkach powietrznych z obrońcami. Grał półzawodowo, zarabiał tyle co nic. Z gry w piłkę nie sposób było się utrzymać. Piłkarz był jak tancerz albo artysta. Jeżdżąc z miasteczka do miasteczka i sypiając

w lichych hotelach (po latach Pelé nazwie takie miejsca „hotelami zerogwiazdkowymi”), próbował szczęścia. Na próżno. Lecz prasa w Rio de Janeiro w końcu zaczęła wspominać o wyczynach postawnego napastnika z Atlético Três Corações. „Dondinho, czarny klejnot Atlético, nie miał dobrego dnia, a mimo to zdobył cztery piękne bramki, wszystkie głową” – napisano 20 sierpnia 1939 roku w „O Jornal”. Był elegancki, szczupły i uzdolniony. W miasteczku uwielbiano go do tego stopnia, że bywał noszony na barana przez rozentuzjasmowanych kibiców. Przerastał o głowę większość ludzi, w tym kolegów z drużyny. Przypominał bohaterów z powieści Gabriela Garcíi Márqueza, którym życie ciągle dawało i zabierało – jednego dnia tak, drugiego nie – i którzy w końcu znikali, ustępując miejsca innym, tworzącym historię tego świata. Dondinho zapracował sobie na przydomek Leônidas do Sul de Minas, Leônidas z Minas Południowego, w nawiązaniu do jednego z najwybitniejszych piłkarzy swoich czasów, nazywanego „czarnym diamentem” – ponoć pierwszego, który strzelał na bramkę z przewrotki, podczas MŚ we Francji w 1938 roku grał boso i nigdy nie trafił na listę legendarnych piłkarzy razem z Pelé, Cruyffem, Platiniem czy Maradoną, bo za jego czasów nie było jeszcze telewizji...

Dondinho nierzadko strzelał w meczu więcej niż dwa gole. Kiedy więc Clube Atlético Mineiro – założony w 1908 roku w Belo Horizonte i będący głównym rywalem Cruzeiro o miano najlepszej drużyny regionu – stracił napastnika Guarę (czwartego w klasyfikacji strzelców w całej historii klubu), działacze zainteresowali się Dondinho. Nie zaproponowano mu od razu umowy, najpierw miał przejść testy. Mimo to nadal była to okazja, jakiej nie mógł przegapić. Wreszcie zapewniłby rodzinie godne życie, wreszcie przeprowadziliby się do porządnego mieszkania albo domu, wreszcie miałyby samochód. Co więcej, w mieście znajdowały się liczne szkoły i uczelnie, w których mogłyby się uczyć ich przyszłe dzieci, tak jak od zawsze pragnęła tego Dona Celeste. Belo Horizonte jawiło się jako miejsce, gdzie waza zawsze jest pełna zupy, a chleb zawsze świeży, gdzie życie upływa w komforcie, a przyszłość może być tylko świetlana.

To był jedynie mecz towarzyski. Dondinho przyjechał do stolicy stanu Minas Gerais 6 kwietnia 1940 roku, a już następnego dnia

wystąpił w spotkaniu przeciwko São Cristóvão, drużynie z Rio de Janeiro. Nazajutrz, 8 kwietnia, nie było już dla niego miejsca w Atlético. W czarno-białych barwach Kogutów, jak kibice nazywają klub, zagrał po raz pierwszy i ostatni. Otóż w połowie pierwszej części gry z impetem zderzył się z Augusto da Costa, atletycznym obrońcą o krótko przyszczyżonych wąsach i upartym spojrzeniu, przyszłym graczem Vasco da Gamy i – przede wszystkim – kapitanem reprezentacji, która w 1950 roku doprowadziła do łez cały naród. W różnych wspomnieniach i wypowiedziach Pelé twierdził, że jego ojciec przechodził testy w Atlético Mineiro w 1942 roku i że to wtedy odniósł kontuzję, która miała złamać jego karierę. Ale sprawozdanie z meczu zawierające składy obu drużyn, gdzie po stronie Atlético figuruje Dondinho, ukazało się w dzienniku „O Globo” 8 kwietnia 1940 roku. Ta nieścisłość nie ma większego znaczenia dla biegu wypadków, ale wciąż jest uparcie powielana, tak jak informacje o wielu innych zdarzeniach, prawdziwych lub nie, które składają się na życie Króla. Jakkolwiek było, przed narodzinami jego *bonito*, „pięknej gry” opartej na płynności operowania futbolówką, piłka nożna stanowiła obficie zaprawioną testosteronem grę dla twardzieli. Nie było jeszcze ochraniaczy na piszczele ani żółtych kartek. Nawet w Brazylii. W wyniku zderzenia prawe kolano Dondinho ucierpiało na tyle, że nie mógł kontynuować kariery. Zerwanie więzadeł? Pęknięcie łąkotki? Nie stosowano jeszcze wtedy rezonansu magnetycznego. Nigdy nie ustalono, co tak naprawdę stało się Dondinho. Po prostu przyłożono mu lód tam, gdzie go bolało. Ale nic to nie pomogło. Dalej nie nadawał się do powrotu na murawę. Piłkarz, który miał zastąpić Guarę – napastnika wykluczonego z gry przez kontuzję doznaną w zderzeniu z Caieirą, obrońcą Palestra Itália, klubu włoskiej społeczności, który później przyjmie nazwę Palmeiras – sam doznał urazu uniemożliwiającego rywalizację.

Od tego dnia każdy dłuższy wysiłek sprawiał, że prawe kolano Dondinho puchło, przyprawiając go o uciążliwy ból zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Ojca Pelé już zawsze miało trawić poczucie zmarnowanej szansy. Wrócił do Três Corações, by pędzić tam skromne życie i rozpamiętywać utraconą nadzieję na lepszą przyszłość, na wspaniałe życie zawodowego piłkarza. Początkowo nie

ruszał się z domu, wierząc, że uda mu się wyzdrowieć i wrócić do Atlético Mineiro albo spróbować szczęścia w innym klubie. Ale uraz już nigdy nie dał mu spokoju i Dondinho wielokrotnie musiał odmawiać występów, kiedy zapraszano go na boisko. Kolano nie przestawało puchnąć po wysiłku, więc gra za darmo tym bardziej nie wchodziła w rachubę. Choć później zdarzało mu się jeszcze wystąpić w jakimś meczu za drobne honorarium, choć nie chciał ostatecznie zrezygnować z ambicji, marzenia Dondinho tak naprawdę umarły w kwietniu 1940 roku. Osobisty dramat prowincjonalnego brazylijskiego piłkarza zostałby całkowicie zapomniany, gdyby jego syn, który wkrótce miał przyjść na świat, nie został po latach najwyższymi cenionym zawodnikiem w historii dyscypliny.

ROZDZIAŁ 3

Dico

W AMERYKAŃSKIM CZASOPIŚMIE „SPORTS ILLUSTRATED” napisano: „Pelé dorastał szczęśliwy w jednym z niewielu krajów na świecie, w których kolor skóry nie ma wpływu na losy człowieka”. Czy autor tekstu, redaktor naczelny i czytelnicy naprawdę nie zdawali sobie sprawy, że po raz pierwszy w dziejach Brazylii czarny został mianowany ministrem dopiero w 1995 roku, czyli dwieście lat po uzyskaniu niepodległości? I że ten polityk nie był absolwentem prestiżowej uczelni ani nie wywodził się z arystokracji? Ani że w 1960 roku stolicę państwa przeniesiono z Rio do Brasílii? Odnosząc się do zatrwazającej biedy i niestabilności politycznej Brazylii, Nelson Mandela zapytał pewnego razu Pelé, dlaczego jego kraj nie jest bogaty, skoro – w przeciwieństwie do Republiki Południowej Afryki – Brazylijczyków łączył język, spoiwo wszelkiej jedności. Były piłkarz nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Jego babcia, Dona Ambrosina, była córką niewolników. Sprowadzono ich masowo z Afryki Zachodniej aż do końca XVIII wieku, byli kierowani do pracy między innymi w stanie Minas Gerais. Uznaje się, że przodkowie rodziny Nascimento pochodzili z Angoli lub Nigerii. W Brazylii przyjęli nazwisko zamożnego rodu hodowców z regionu Nordeste. Znaleźli się wśród około sześciu milionów niewolników sprowadzonych do Brazylii (trafiło ich tam dwadzieścia razy więcej niż do Ameryki Północnej, i to nie licząc miliona tych, którzy zmarli na pokładach statków). Niektórym udawało się uciec i zakładali własne osady w puszczy amazońskiej, zwane *quilombos*. Uważa się, że to oni mogli wymyślić przypominającą taniec sztukę walki, capoeirę,

i że to z niej wywodzi się pojęcie *ginga*, które po portugalsku oznacza „grę nogami” – elegancki, płynny styl poruszania się, który Pelé podniesie do rangi niemalże choreografii.

Były w historii Brazylii czasy, gdy niewolników żyło tam więcej niż ludzi wolnych. Były i takie, w których dawni niewolnicy posiadali własnych niewolników, co jak najbardziej tolerowano i co umożliwiała nowym właścicielom uzyskanie pożądanego statusu i udział w życiu gospodarczym w innej formie niż harówka w polu czy na plantacji. Z tego powodu idee abolicjonistyczne długo były w Brazylii wołaniem na puszczy. Cesarstwo Brazylii zniosło niewolnictwo jako ostatnie w obu Amerykach (1888), a wcześniej przez całe lata łamało międzynarodowe zobowiązania. A kiedy ta decyzja w końcu zapadła, monarchia od razu straciła poparcie wielkich właścicieli ziemskich. Już rok później upadła, a Brazylia stała się ową rasową demokracją, w której pierwsze skrzypce grała jedna, konkretna część społeczeństwa. Pelé, którego zwano też *Negão* („czarnuch”) albo *Crioulo* („mieszaniec”, „Kreol”), stał się pierwszym wyjątkiem od tej reguły. Jego geniusz, powszechna sława, dobre wychowanie i podejście do ludzi w sposób często niewidoczny, ale istotny, wspierały mniejszości etniczne Brazylii.

21 października 1940 roku Winston Churchill zwrócił się do Francuzów w ich języku, nawołując do oporu: „Uzbrójcie na nowo swoje serca, zanim będzie za późno!”. Tego samego dnia Celeste urodziła Edisona Arantes do Nascimento, ale urzędnik stanu cywilnego pomylił się przy zapisywaniu w dokumentach jego pierwszego imienia. 23 października 1940 roku w Hendaye Hitler spotkał się z generałem Franco, na próżno próbując przekonać go do przystąpienia do wojny. Tego samego dnia w innym rejestrze, w księdze parafii, w której ochrzczono przyszłego Króla, wpisano inną datę urodzin chłopca, ale nie poprawiono literówki w imieniu. A jego rodzice postanowili, że będzie się nazywał właśnie Edson, bez samogłoski i, bo tak ich zdaniem brzmiało lepiej. Ale dalej było to rzecz jasna nawiązanie do amerykańskiego pioniera odpowiedzialnego za wiele wynalazków związanych z elektrycznością i kinem (w tym samym roku zresztą, 1940, zapalono w Três Corações pierwszą żarówkę). Urząd stanu cywilnego nigdy nie naprawił swojego błędu. Obciążony jak gdyby

podwójnym imieniem nieustrudzony podróżnik Pelé tracił mnóstwo czasu na wyjaśnianie sprawy celnikom i urzędnikom.

W każdym razie oficjalnie Edson Arantes do Nascimento przyszedł na świat 23 października 1940 roku w Três Corações. „Chłopiec czy dziewczynka?” – spytał ojciec zaraz po narodzinach. „Tak czy owak, bardzo czarne!” – odparł wuj Jorge, który mieszkał pod tym samym dachem. To on nazwał chłopca Dico. Ten krótki przydomek miał oznaczać „syn wojownika”. Będzie to miało znaczenie, gdy młody człowiek dorośnie i gdy przezwisko Pelé przyćmi zarówno Edsona, jak i Dico właśnie. Król nie znosił pseudonimu, pod którym znał go cały świat, ale z czasem nawet zastrzegł go sądowo. Była to dla niego użyteczna maska. I właśnie dlatego, że nie utożsamiał się z nim, czasami mówił o sobie w trzeciej osobie: „Gdziekolwiek się udasz, ludzie wszędzie znają tę świętą trójcę: Jezusa Chrystusa, Pelé i Coca-Colę” albo „Pelé nie umiera, Pelé nigdy nie umrze, Pelé będzie wiecznie żywy”. To uniwersalnie znane przezwisko pozwalało mu radzić sobie z presją wielkich wydarzeń i niezliczonych składanych mu propozycji. Dzięki niemu oddzielał swoje jestestwo od ciała. „Edson jest tym, na kim opiera się Pelé. Edson jest fundamentem. Pelé daje tylko swoją twarz” – powtarzał.

Jego matka szyla mu ubrania z worków na zboże. Chodził boso. Bywały dni, kiedy dostawał do jedzenia tylko kawałek chleba i plaster banana, czasami z porcyjką ryżu albo fasoli, przyniesionych przez wuję Jorge ze sklepu spożywczego, w którym pracował. Dach ich domu przeciekał, a podłogę zalewało przy każdej ulewie. Już od dziecka odczuwał lęk przed brakiem („ta mrożąca krew w żyłach myśl, że czegoś ci zabraknie, nigdy nie odchodzi... ten lęk nachodzi mnie po dziś dzień”). A przecież rodzinie Nascimento prawdziwa nędza wcale nie zaglądała w oczy. Nie mieszkali w faveli. Mieli dziurawy, ale jednak dach nad głową, a ich uliczka, choć niewybrukowana, to przynajmniej była gładka jak porządne boisko do piłki nożnej. Dico odziedziczył po matce ten charakterystyczny uśmiech, który promieniał spod parę ciekawych świata oczu. Niedługo później urodził się jego młodszy brat, Jair, którego wszyscy będą nazywać Zoca. Zmarł w 2020 roku. Dico i Zoca byli nierozłączni.

Chłopiec miał trzy lata, kiedy cała rodzina, w tym babcia i wujek, przeprowadziła się po raz pierwszy. Osiedli w São Lourenço, gdzie głowa rodziny grała w klubie Vasco de São Lourenço, a następnie przenieśli się do Loreny, gdzie Dondinho zasilił szeregi Hepacaré. W tej uzdrowskiej miejscowości, która znajdowała się już całkiem niedaleko São Paulo i Rio de Janeiro, przyszła na świat siostra Pelé, Maria Lucia. Choć Dondinho nie był już takim piłkarzem jak dawniej, wciąż cieszył się świetną reputacją. Nazywano go „prowincjonalnym Baltazarem”, bo był wysoki i często zdobywał gole głową, tak jak słynny Baltazar z Corinthians, zwany Cabecinha de Ouro (i którego „złota główka” niestety nie uchroni Seleção przed katastrofą w 1950 roku).

Mały Dico chętnie przyglądał się, jak ojciec trenuje z kolegami. Bramkarz tej półzawodowej drużyny był znany jako Bilé. Chłopiec był zafascynowany tym wyjątkowym zawodnikiem, który jako jedyny na boisku mógł wykonywać isticie kocie susy i łapać piłkę w ręce (w swojej karierze Pelé często będzie pełnił funkcję „zapasowego” bramkarza). Bilé naprawdę nazywał się José Lino. Gdy był w wieku Dico, a może trochę młodszy, jeszcze nie mówił. Jego matka bardzo się tym martwiła. Podejrzewała, że jej synek może być upośledzony albo, co gorsza, ciąży na nim zły urok. Nikomu o tym nie mówiąc, prowadziła go do *benzedeiros*, miejscowych czarownic, a one w księżycowe noce odprawiały wokół malca czary, intonując płaczliwe melodie i powtarzając w kółko zaklęcie *bili-bilu-teteia* (coś jak nasze „abrakadabra”). Aż w końcu pewnej nocy wydarzył się cud: chłopiec nagle zaczął wołać wniebogłose „Bilééééé!”. Owszem, mały José był trochę opóźniony w rozwoju względem rówieśników, ale za to dzięki uczestnictwu w „sabatach” zyskał przydomek, przyniósł ulgę zbolącej matce i choć nie zdawał sobie z tego jeszcze sprawy, przeszedł do historii.

Otóż mały Dico podczas treningów i meczów drużyny ojca najchętniej zajmował miejsce za bramką strzeżoną przez Bilé i z zapalem, do którego zdolne są chyba tylko dzieci, dopingował golkipera pod rozbawionymi i zarazem wzruszonymi spojrzeniami pozostałych graczy. „Brawo, Bilé! Świetnie, Bilé!” A ze względu na wciąż jeszcze dziecięcy sposób mówienia „Bilé” wybrzmiewało najpierw jak „Pilé”, a później jak... „Pelé”. Koledzy Dico ze szkoły nie przepuścili

okazji i zaczęli przezywać go przydomkiem bramkarza. A ponieważ w dzieciństwie nic nie boli tak jak złośliwość drugiego dziecka, szybko znienawidził przezwisko. Kiedy niebawem wyprzedził rówieśników w rozwoju fizycznym i umiejętnościach piłkarskich, czasami zgadzał się, żeby połowę meczu rozegrać jako bramkarz i nie psuć innym zabawy. I wtedy też dzieciaki zgromadzone wokół boiska dogryzały mu, wołając: „Hej, Pelé! Bierzesz się za Bilé czy co? O, patrzcie, ale obrona. Dobry jesteś, Bilé!”. Zdarzało się, że Dico tracił cierpliwość i próbował uciszać „kibiców” pięściami, ale na próżno.

Oto najbardziej prawdopodobna teoria dotycząca genezy słynnego przydomka. Najpierw, kiedy Dico był jeszcze dzieckiem, przytaczał ją wuj Jorge, a później sam Król potwierdzał jej prawdziwość. Inne wersje, jak ta o hebrajskim pochodzeniu pseudonimu (*bilé* znaczy w tym języku „cud” i to Bóg we własnej osobie miał zesłać swojego przedstawiciela na zielone murawy), przemawiają tylko do nielicznych fascynatów. Bywał też nazywany Tiziu, bo tak w jego okolicy mówiło się na polniczki, malutkie i zwinne ptaszki, na które polował z kolegami; nie używał jednak tej ksywki zbyt długo. Dużo później, kiedy będzie już grał w drużynach młodzieżowych Santosu, przyłgnie do niego natomiast przezwisko Gasolina. Dość obraźliwe, bo można je było odnieść nie tylko do szybkości (tak tłumaczył je później sam Król), ale też czarnego koloru skóry – słowo *gasolina* w potocznym języku portugalskim odnosi się zarówno do przezroczystej benzyny, jak i ropy naftowej. I choć Pelé przekonywał Zito, że zdecydowanie najbardziej odpowiada mu pseudonim Dico, a od Gasoliny woli już nawet swoje prawdziwe imię Edson, to przecież z kapitanem drużyny się nie dyskutuje. Niedługo potem obaj staną się zawodnikami pierwszej w historii reprezentacji Brazylii, która zdobędzie mistrzostwo świata. Nie miało to jednak większego znaczenia. Kiedy rodzina Nascimento przeniósł się do Bauru w stanie São Paulo, gdzie Dondinho znalazł zatrudnienie jako urzędnik (i przy okazji jakimś cudem zdobył kontrakt w lokalnym klubie, Luzitana FC), miejscowi kibice określali Edsona Arantesa do Nascimento tylko w jeden sposób: Pelé. I właśnie tak w przyszłości będą go nazywać miłośnicy piłki nożnej na całym świecie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).